

Życie wirtualne nie jest bezkarne

Łukasz Kaczyński: - Czy śledzi pan filmy lub seriale, które projektują przyszłą koegzystencję człowieka i rozwiniętej technologii, np. „Westworld”, „Wzbogacony węgiel”, czy najbardziej z nich udany „Black mirror”? Po premierze pana „Otchłani” słyszałem jak, para widzów porównywała spektakl do pierwszego z nich, moim zdaniem błędnie.

Mariusz Grzegorzek: - Obejrzałem kilka odcinków „Black mirror”, np. ten, w którym chłopak miał testować grę komputerową, ale doznania, którym został poddany były tak silne, że prawie śmiertelne. Nie śledzę tego nurtu, bo film jako sztuka popularna snuje według mnie „trywialne opowieści o siedmiu zbrojach”, których poziom mnie irytuje. Inaczej, gdy mowa np. o „Stalkerze” Tarkowskiego, opartym na Strugackich, który w rdzeniu jest science-fiction, ale dotyka problemów uniwersalnych – stawiane pytania nie dotyczą przemian na poziomie technologicznym, ale jak mogą one rzutować na naszą percepcję świata, duchowość, struktury społeczne. Przeczuję, że przyszłość będzie o wiele mniej technologicznie „nasączona” niż wmawiają nam to Netflixowe seriale. Zresztą kinowe czy literackie dzieła, które wiele lat temu próbowały tworzyć technologiczne wizje przyszłości z niewyobrażalnym wtedy wyprzedzeniem myliły się – dziś, gdy dawno przeżyliśmy rok 2001 wiemy, że jesteśmy za Kubrickowskim wizjami daleko w tyle. Nasze możliwości intelektualno-technologiczne są zbyt słabe, by sprostać tamtym wyobrażeniom. Będziemy raczej powoli zdychać na naszej udręczonej planecie niż nawiążemy jakikolwiek kontakt w jakiegokolwiek sprawie z jakąkolwiek obcą inteligencją. Nasza głupota w sposobie postępowania z Matką Naturą jest porażająca. Mam 56 lat i klątwa „obyś żył w ciekawych czasach” trochę mnie dotyczy, bo przeszedłem przez różne ustroje, energie, porządki, sposoby funkcjonowania grupy, narodu, naszej ojczyzny i świata – i mam poczucie, że tak okrutnego systemu zawiadywania ludzkością, jej potencjałem, dobrami duchowymi i materialnymi nie było. Przy pozorach totalnej wolności i dostępności – za którymi tak tęskniło moje pokolenie pamiętające rodziców, którzy zmagali się ze zdobyciem oleju do smażenia ziemniaków, podręczników dla dzieci, mięsa na kartki – zwycięża najciemniejszy, najbardziej gęsty, najokrutniejszy aspekt naszej natury – ten, który „opiewam” od początku swej twórczości. Porządek świata fundowany jest na żalonym duchowym i egzystencjalnym formacie kilkudziesięciu najzamożniejszych ludzi i dlatego wali się na morde.

Właśnie twórcom „Westworld” zarzuca się, że w swej wizji przyszłości pomijają zjawiska i narzędzia już obecne, a serwują to, co oswojone, że powielają obecny porządek społeczny, jakby nie chcieli lub nie potrafili projektować innej rzeczywistości. Dla nich „przyszłość została odwołana”.

- Tylko że nie będzie powielenia tego, co już było, ale dalsza degradacja. Przepraszam za walenie w przysłowiowy Dzwon Zygmunta, ale ilość uwolnionego zła (pod czym rozumiem: brak szacunku dla drugiego człowieka i natury, niesprawiedliwość społeczną, skrajny wyzysk i agresję etc.) powoduje, że upadek jest nieodwołalny, a klimatolodzy wprost twierdzą, że nawet gdyby natychmiast wstrzymać przyczyny wszystkich zmian klimatycznych, to i tak doprowadzimy do zagłady planety – przekroczyliśmy punkt, po którym następuje seria samonapędzających się reakcji łańcuchowych, nie do zatrzymania.

Chociaż ta apokaliptyczna wizja kina SF może się ziścić. Ale zdarzają się przecież obrazy, które mówią coś więcej - pan wspomniał „Stalkera”, ja pomyślałam o „Blade Runnerze”, oczywiście nie zestawiam tych tytułów.

- One nawet do siebie nie pasują. Tarkowski to rodzaj traktatu egzystencjalnego, kino spokojne,

skupione i mądre, a siłą „Blade Runnera” jest to, że w swej istocie jest on... przejmującym romansem w atrakcyjnym opakowaniu. Tę historię napędza detektyw i poznana przez niego „oczuta” istota – i ów powstający pomiędzy nimi powidok uczucia, wiara lub nadzieja, że ten ktoś po drugiej stronie, niezdolny do miłości, bo jest maszyną, androidem, może dzięki jakiemś defektowi będzie umiał kochać. Defekt staje się motorem aktu zbawczego. Dwie istoty z innego porządku są w stanie wejść w interakcję, która uratuje ich i świat, czyli w tzw. miłość.

W „Otchłani” miłość - cielesna, zakazana (bo z nieletnimi) i nierealna (w świecie wirtualnym) - zdaje się konieczną do przejścia furtką do zastępczych relacji międzyludzkich, których brak w świecie realnym, a gadżety rodem z SF służą opowiedzeniu o tym, jak rozwinięta technologia może zacząć działać np. na naszą moralność. Czy morderstwo w rzeczywistości wirtualnej, do której podłączone jest nasze ciało, a więc gdy odczuwamy pełnię czynu, czyni nas przestępcami, winnymi?

- Bardzo podoba się mi w „Otchłani”, że pod przykrywką stworzonego przez pana Simsa portalu dla udęczonych pedofilów, jakim jest Zacisze, postaci załatwiają inne potrzeby, na pewno nie potrzebę seksualnego obcowania z niewinną dziewczynką. Głód uczucia. Problem w tym, że tak – zwracając się w sposób sentymentalny czy infantylny ku najprostszym emocjom – nie można tego załatwić. O tym jest dla mnie „Otchłań”. O samooszukiwaniu. Jeśli wiązania między ludźmi zostaną rozerwane, to próby stworzenia ich fantomu nie będą mieć potencjału energetycznego, który może nas, prawdziwych, odbudować. Co do moralności, w spektaklu padają argumenty, że pewne żądze czy niebezpieczne marzenia można kanalizować w świecie wirtualnym przez co są mniej szkodliwe społecznie. Ale zupełnie inaczej jest ze szkodami duchowymi: w „wirtualu” nie zabijamy naprawdę, ale w naszej świadomości czy woli powstaje rodzaj skazy, mniej lub bardziej odczuwanego obciążenia tym niszczycielskim aktem. Ucieczka w przestrzeń wirtualną nie odbywa się bezkarnie. Ci, którzy dziś grają w pokera czy oglądają pornografię odczuwają destrukcyjny wpływ tego „hobby”, naukowo dowiedziono, że tracą oni zdolność nawiązywania wartościowych relacji w tzw. normalnym życiu. Działanie VR jest atomizujące i wyniszczające, bo koncentrujemy się na sobie, partner jest tylko fantomem.

Dlatego tak ważne jest, że jesteśmy biologiczni, zbudowani z komórek i musimy kontaktować się z drugimi osobami zbudowanymi z komórek – jeśli kontaktujemy się z bitami, tworzą one zaledwie jałową iluzję mechanizmu, w którym powinniśmy funkcjonować. Zgoda, jednym z ulubionych elementów SF jest materializacja pytania: „co jeszcze człowiek będzie mógł wymyślić”, i to nas podnieca, bo w dość wadliwej, ale upojnej perspektywie zdaje się nam dowodem na naszą moc stwórczą, na potęgę człowieka, który nie tylko jest w świecie, ale i tworzy nowe światy. Ale człowiek nie jest w stanie stworzyć np. jednokomórkowego organizmu, jakim jest pantofelek. Nie wie, na czym polega ludzka wola i procesy decyzyjne. Tworzy tylko wynalazki, oparte na technologii, chipach i zasilaniu, a wszystko to jest wysoce zawodne i ma limitowane funkcjonowanie – chip się psuje i wczorajsza technologiczna sensacja staje się jutro przebrzmiałym hitem.

W spektaklu to pan Sims (Andrzej Wichrowski) umożliwia kanalizowanie pożądania, które wobec małych dziewczynek odczuwają „goście” zbudowanego przez niego świata, ale też kanalizowanie fantazji i potrzeb tym, którzy godzą się wcielić w rolę Iris. Tylko że Sims darzy Iris także „ludzkimi” uczuciami.

- Wszystkie postaci dramatu są ciekawie skonstruowane, na swój sposób dualne – noszą w sobie jeden wektor, sens, pragnienie, a obok jego przeciwieństwo. Sims jest dość cynicznym przedsiębiorcą, na pewnym etapie rozwoju projektu Zacisza podniecał go jego aspekt biznesowy, choć miał świadomość, że biznes tego typu obciążony jest ogromnym ryzykiem. Jednak sukces jego portalu stał się momentem, w którym stracił zainteresowanie biznesowe swym wirtualnym przedsięwzięciem, a zrozumiał, że może osadzić, zadomowić się w Zaciszu w innym aspekcie: może

być... kochanym człowiekiem. Ma poczucie, że z wybranymi do roli słodkich kurtyzan dziewczynkami (a przede wszystkim ukrytymi za nimi realnymi mężczyznami) ma autentyczną relację, niezwiązaną z obsesją seksualną, z pilnowaniem, by Iris była karną dziecięcą prostytutką – dla niego jest prawdziwą, wspaniałą istotą, fascynującym kobieto-dzieckiem. Ta relacja jest czymś on the edge, ma aspekt ojcowskiego zadbania, ale zapewnia też Simsowi możliwość sprawowania władzy na poziomach, które przy „totalitarnym dreszczu” zachowują ciepły i bezpretensjonalny układ. Dopiero, gdy ta równowaga rozpada się, charakter układu ulega zmianie. Postaci „Otcłani” chcą jednak wierzyć w ten słoneczny aspekt, wypierając to, co ciemne, tylko dlatego, że potrzebują fantomu prawdziwej, ludzkiej, takiej oldfashioned relacji.

Dla Morris (Agnieszka Skrzypczak) dokonane w Zaciszu po zmianie postaci zabójstwo jest dotarciem do granic jej „ja”, przenicowania swej kondycji?

– Ona niczego nie przenicowała, to bardzo udręczona postać. Jest niestabilna, wskutek nieznanym nam wcześniejszych doświadczeń przesycona brakiem poczucia wartości, także na poziomie seksualności czy kobiecości (Agnieszka Skrzypczak początkowo miała chyba co do tego opory) – dlatego Magda Moskwa przygotowała tak androgeniczny kostium. Ogromnie mnie pociąga to, co w „Otcłani” jest takie „trans-genderowe”: ludzie w „wirtualu” zmieniają płci i wizerunki, które już nie są istotne, byle tylko jakoś złączyć się z drugim człowiekiem w sposób, który podbudowany jest (jak im się zdaje, uczuciem), czymś więcej niż seks. Transgresja Morris po wejściu do Zacisza, podobnie jak transgresja Doyle’a (Krzysztof Zawadzki), którego w „realu” Morris, jako funkcjonariusz służb, przesłuchuje w sprawie Zacisza, to dla nich badanie najskrytszych możliwości. To, co dla nas jest przekroczeniem, dla nich jest już rozmyte, bo chodzi im tylko o miłość w tym najczystszy, intuicyjnie przeczucywanym ujęciu. Dlatego gdy kobieta Morris wchodzi jako pan Woodnut w uczuciową relację z dziewczynką Iris, będącą alter ego pewnego mężczyzny, przeżywa rodzaj spóźnionej inicjacji na poziomie seksualnym, ale i duchowym, zaczyna odżywać, odzyskuje wiarę w siebie. I ta relacja jest niezwykle piękna, bo zawiera w sobie niesamowitą rozpiętość – unosi i daje siłę, i jednocześnie bezlitośnie niszczy, bo Morris wchodzi w Zaciszu w to wszystko, co w jej kategoriach jako inspektora policji i przestraszonej istoty ludzkiej było złe i toksyczne. Mówi: nigdy tak nie czułam, co w domyśle znaczy: nigdy nie czułam, teraz zaczęłam, nieważne co zrobiłam, ważne, że odzyskałam wewnętrzny kompas – obroniłam swe człowieczeństwo w tym najgłębszym, najczulszym aspekcie. Mam poczucie, że osobą, która wyjdzie z tej historii w stronę jakiegoś światła, czy odrodzenia, jest właśnie Morris. Nawet przy świadomości, że osobą, którą pokochała po raz pierwszy w życiu, odebrała sobie życie.

Rozmowa pochodzi z "Kalejdoskopu" numer 10 / 2018